

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.

Czynne od g. 12 — 2 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 50 zł.

1/2 „ — 25 „

1/4 „ — 13 „

1/8 „ — 7 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

„Szanterjada”.

Od dłuższego już czasu głucho jest w Polsce o sprawach białoruskich i Białorusinach. Z tych powodów możnaby nawet sądzić, że kwestja białoruska już wogóle przestała istnieć w Polsce, jako zagadnienie odrębne i aktualne. Czasem tylko, jakiś zgrzyt przypomni o jej istnieniu i wtedy choć na krótko, widoczną staje się — wpędzona w kąt złego zapomnienia — żywa istota tej kwestji białoruskiej, która czeka na rozstrzygnięcie.

Tak, niedawno wywleczono ją przypadkowo na światło dzienne w prasie wileńskiej. W „Kurjerze Wileńskim”, jakaś bezimienna „Nauczycielka” umieściła artykuł, ujmujący bardzo drażliwe bolączki nauczania dzieci białoruskich w polskich szkołach państwowych. „Sumlennaja wuczycielka” — jak anoniemową autorkę nazwała „Białoruskaja Krynica” — dosyć alarmująco, i trzeba przyznać — otwarcie, a jak na istniejące stosunki — odważnie, poruszyła bardzo istotne rzeczy, w związku z praktyką oficjalnego nauczania dzieci białoruskich w powszechnych wiejskich szkołach. Z wynurzeń autorki wyjrzała smutna prawda, tak mało zwykle widoczna pod jasnej barwy pokostem urzędowej relacji. Autorka nie ukrywa prawdy, że dzieci białoruskie mało korzystają z nauki... gdyż stoi temu na przeszkodzie nieznamość polskiego języka. „Nauczycielka” nie odważa się wysnuć wniosku ze swoich spostrzeżeń i rozważań. Jednak jasnym jest, że istotną naprawę tego niezadawalającego stanu rzeczy mogłoby przynieść wprowadzenie języka białoruskiego do nauczania w szkołach wiejskich.

Podniesione we wspomnianym artykule sprawy zostały już obszerniej potraktowane w „Przeglądzie Wileńskim” — i nie ten temat będzie nas tu interesować. Dyskusja, którą wywołał w „Kurjerze Wil.”

artykuł „nauczycielki”, wysunęła inny objaw życia białoruskiego, który w prasie białoruskiej ochrzczone już został mianem „szanterjady” — od nazwiska p. Szantera, który czołowe miejsce w tej dyskusji zajął.

P. Stanisław Szanter, występujący stale w „Kurjerze Wileńskim” w roli rzecznika i obrońcy upośledzonej wsi — zabrał głos w sprawach poruszonych przez „Nauczycielkę”. W artykule, umieszczonym również w „Kur. Wil.”, p. Szanter dał szczerzy wyraz swoim poglądom na potrzebę nauczania w języku białoruskim, na szkolnictwo białoruskie i wogóle na białoruską kulturę. Wynurzenia tego publicysty nie mogłyby wzbudzać większego zainteresowania, gdyby występował w roli wyraziciela tylko własnych zapatrywań. Lecz niewątpliwie w tym wypadku p. Szanter stał się wyrazicielem opinii szerszego zastępu miejscowych kulturtregerów, którzy nie małą rolę odgrywają, nietylko w urabianiu opinji, ale również i przy realizowaniu pewnych, z tej opinji wynikających, posunięć, zwłaszcza, jeżeli chodzi o sprawy oświaty na wsi białoruskiej. Pan Szanter naprawdę tu coś reprezentuje. I dlatego wynurzenia jego godne są uwagi.

P. Szanter sam jest Białorusinem z pochodzenia, do czego się pochopnie przyznaje, chcąc tem wyznaniem wzmocnić swoje argumenty, które przeciwstawia poglądom „smutnej” — jak ją ironicznie nazywa — „nauczycielki”. P. Szanter twierdzi, „że lud „rasowo” (cudzysłów p. Szantera) białoruski — duchowo grawituje ku polskim formom kulturalnym” które „przydatniejsze” są do „uzewnętrznienia bogatej treści duszy białoruskiej”. Dalsze zaś rozumowania p. Szantera uświadamiają nas, w jakiej formie przejawia się ta „bogata treść” i ten „wygodniejszy i precyzyjniejszy środek ekspresji” — jak nazywa polską kulturę ten z urodzenia Białorusin, który zgrawitował już całkowicie do polskości.

Osoba p. Szantera i jego poglądy — są tego wyrazem. Ten demokrat i działacz, rzecznik wsi upośledzonej, obrońca pogrążonych w nędzy włościan białoruskich — prześlaknięty duchem polskiej kultury — cynicznie pluje na wszystko, co jest białoruskie u ludu, z którego sam, jak powiada, pochodzi. Ten działacz urobiony przez polską kulturę, zachęca chłopca białoruskiego, aby się wstydził własnego pochodzenia i gardził swoją narodową odrębnością. Tem go natchnęła polska kultura! Szczerze wyznanie wiary ze strony p. Szantera jest tem właśnie ciekawe, że na przykładzie ilustruje nam w czym się wyraża obecnie wpływ polskiej kultury i co kultura ta niesie masom białoruskim. Wydobywa ona na jaw objawy upodlenia — tego snobizmu każdego chama, który dąży do ukrycia swego „gorszego” pochodzenia. „Tym samym instynktem — woła chępliwie ten „wyzwoleniec” — kieruje się *ciemna* wieś białoruska...”. I właśnie w tej ciemnej — najciemniejszej wsi białoruskiej, pogrążonej w nędzy — szuka p. Szantera sfery dla swego „moralnego” oddziaływania.

Gdy inteligent białoruski, p. Iłjaszewicz, w artykule, umieszczonym w „Kur. Wil.”, zdemaskował twierdzenie p. Szantera, że „temi samymi kategoriami myśli olbrzymia większość białoruskich inteligentów” i uzasadnił stosunek Białorusinów do zagadnienia oświaty i szkoły — wkrótce w „Kurjerze Wileńskim” ukazał się, zdaniem redakcji tego dziennika, „bardzo charakterystyczny głos małorolnego włościanina białoruskiego”, niejakiego Leonida Chocianowskiego, którego „charakterystyczny głos” miał udowodniać, że przecie p. Szantera ma posłuch we wsi białoruskiej. Ten „białoruski włościanin” pisał o tem, jak to gimnazjum białoruskie w Nowogródku stało się rozsądkiem agitacji „bolszewickiej”. „Cała chmara agitatorów bolszewic-

kich” — stwierdza wioskowy chwalca p. Szantera — wmawia w białoruskich włościan, że są Białorusinami. Ta paradoksalna z pozoru gra słów ma głębszy sens moralny, jeżeli oświetlić ją swoistą teorią p. Szantera.

Dla p. Szantera nie wszyscy Białorusini są jednakowi. Wyróżnia Białorusinów „normalnych”, dla których odrębna kultura białoruska nie posiada żadnej wartości. Ci „normalni” Białorusini nie chcą szkoły białoruskiej, a „wyzwolenie ze swego upośledzenia i nędzy widzą w kulturze polskiej, do której bardzo się garną”. Ba! „Garną się namiętnie — „mimo, że przeciwstawia się temu kultura sowiecka, która — według p. Szantera — dostępniejszym językiem białoruskim obiecuje im radykalniejsze wyzwolenie — według zaś relacji „włościanina białoruskiego”, Leonida Chocianowskiego — poprostu uświadamia Białorusinów, że są Białorusinami.

Ten szanterowski kalambur mógłby być nawet zabawny — gdyby nie to, że staje się wyrazem głębokiej tragedji Białorusinów w Polsce. Z teorii Szantera tworzy się uzasadnienie dla praktyki. Wszyscy Białorusini, którzy wyrzekają się swej białoruskości, to są Białorusini „normalni”: oni nie chcą szkoły białoruskiej, oni „garną się” do polskiej kultury, oni słuchają Szanterów, oni przy spisach ludności zwiększają w statystyce ilość ludności polskiej — oni wogóle nie chcą być Białorusinami. Wszyscy zaś Białorusini, którzy chcą szkoły białoruskiej, którzy mają przywiązanie do swojej odrębności narodowej, a nie poddają się — wpływowi propagandy p. Szantera — ci Białorusini, którzy chcą być Białorusinami, a nie chcą stawać się Polakami — ci naturalnie nie są normalni. Na skórze takich „nienormalnych” Białorusinów wypala się stempel: „bolszewik” — i rzecz prosta, postępuje się z nimi

Czy biskup sejneński Konstanty Łubieński naprawdę został otruty?

Bodaj żaden biskup w Polsce i Litwie nie doznał tak wyczerpującej monografji, jak sejneński *Konstanty Ireneusz Pomian br. Łubieński* (1825—1869). Tak brzmi tytuł książki napisanej przez brata (Rogera Łubieńskiego) o bracie, sygnowanej tylko trzema gwiazdkami, a wydanej w r. 1898 w Krakowie po polsku, a w Paryżu po francusku. Jako mocno kompromitującą swą treścią władze rosyjskie, zabroniona była przez cenzurę i trafiała do nas drogą kontrabandy.

Ale nas tu obchodzi jedynie zgon biskupa.

W r. 1869 władze centralne w Petersburgu nakazały wywiezienie b-pa K. Łubieńskiego z cichej jego stolicy biskupiej Sejn daleko na wschód Rosji. Wywożonemu biskupowi towarzyszyli w drodze pułkownik żandarmerji Kurzelewski i zaufany kucharz Leon. Jadącym wypadło nocować. Zatrzymano się nie w hotelu, lecz w wybranym przez Kurzelewskie-

go domu prywatnym. Tu właśnie w Orle biskup zjadł przygotowany mu własnoręcznie przez pułkownika Kurzelewskiego kompot z pomarańcz, poczem natychmiast poczuł wymioty i chorował już bez przerwy aż do rychłego zgonu. Czując się b. źle, biskup prosił o doktora i błagał o księdza. Prośbie tej niby nie odmówiono, lecz zwyczajem rosyjskim udano się zaraz z zapytaniem naprzód do władz miejscowych, potem do ministra w Petersburgu... Interwencja okazała się bezskuteczną i osłabionego niepomiernie chorobą powieziono dalej, w kierunku miejsca przeznaczonego mu na wygnanie — dalekiego jeszcze Permu. Przejechali Moskwę, Kowrow, wszędzie dbano o zupełną izolację więźnia od ludzi. Biskup wciąż był ciężko a niebezpiecznie chory — żadnej nie było widać poprawy. Gdy stanęli w Niższym Nowogrodzie, nawet władze carskie zrozumiały już, że nie sposób dalej wlec ciężko chorego biskupa. Przewiózł go tedy Kurzelewski na drugą stronę Wołgi do samego miasta, gdzie stanęli w hotelu Kama. Chory ponowił tu prośbę o księdza i lekarza. Dopiero gdy ces. Aleksander II wydał rozkaz, by za wszelką cenę biskupa przy życiu utrzymać, Kurze-

w sposób odpowiedni... I dla tego Szanterom wydaje się, że za nimi idzie lud białoruski.

Gudas.

Litwa a Niemcy.

W stosunkach litewsko-niemieckich po ostatniej mowie Hitlera, rzecz prosta, nie nastąpiło odprężenie. Rzeczową ocenę ich daje artykuł organu szaulisów „Trinitas” z d. 6 b. m. który podajemy w obszernym streszczeniu.

Stosunki Litwy z Niemcami nie ulegają poprawie. Nie jest to winą Litwy. Zachodni sąsiad Litwy zaczął postępować tak, że bezstronni obserwatorzy, jak np. profesor prawa międzynarodowego na uniwersytecie strasburskim Reoslob przyznaje Litwie prawo obrony wszystkimi środkami, nie wyłączając wojny.

Niemcy dobrze jednak wiedzą, że Litwa nie wypowie Rzeszy wojny, zaś Liga Narodów, do której Litwa może się zwrócić, również narazie nie posiada wojska, któreby mogło zmusić Niemcy do szanowania cudzych praw. Z tego względu też Niemcy hałasują. Nie występują one przeciwko Anglii, Francji czy Włochom, a tylko przeciwko Litwie, gdyż czują, że są od Litwy o wiele silniejsze. Takie postępowanie, rzecz prosta, nie przynosi Niemcom zaszczytu.

Sympatje całego świata są po stronie litewskiej. Zaczęły się one szczególnie ujawniać po mowie Hitlera z 21 maja, w której wódz Rzeszy publicznie oświadczył, że Niemcy nie zawrą z Litwą żadnych traktatów politycznych, dopóki na obszarze Kłajpedy trwać będzie obecna sytuacja polityczna. Dla uzasadnienia takiego stanowiska wysunął Hitler pod adresem rządu litewskiego zarzut nieuzasadniony, jakoby rząd litewski nie przestrzega najprymitywniejszych praw współzycia ludzi. Według Hitlera, 140 tys. Niemców kłajpedzkich ugina się pod jarzmem litewskim. Niemcom tym ma być udzielone prawo samookreślenia. Z przemówienia wodza Rzeszy prze-

bija ta sama propaganda, którą już drugi rok prowadzi prasa niemiecka przeciwko Litwie.

Okoliczność ta wywołała powszechne zdziwienie. Wydało się rzeczą dziwną, że kierownictwo Rzeszy zwraca tak wiele uwagi na kilkadziesiąt tysięcy Niemców na obszarze Kłajpedy, podczas, gdy o innych krajach, gdzie są miliony Niemców, nawet nie wspomniało. Odrazu było rzeczą jasną, że tak niezwykła troska o Niemców kłajpedzkich wpływa z pewnych celów polityki. Rzeszy nie trudno również domyślić się, jakie są to cele. Prasa zagraniczna natychmiast wytłumaczyła oświadczenie Hitlera co do Niemców kłajpedzkich, jako przygotowanie terenu do nowych żądań niemieckich odnośnie ziem odebranych od Niemiec. Wprawdzie w tej samej mowie Hitler przekonywał, że Rzesza odrzuciła jedynie wojenne postanowienia Traktatu Wersalskiego. Wszystkie inne postanowienia tegoż traktatu kierownictwo Rzeszy ma szanować. Innymi słowy Niemcy nie zamierzają narazie odbierać z pomocą oręża ziem, które utraciły na mocy Traktatu Wersalskiego. Jednak z przemówienia Hitlera wynika, że Niemcy dążyć będą do tych ziem w inny sposób, a mianowicie drogą plebiscytu. Po udanym plebiscycie w zagłębiu Saary kierownictwo Rzeszy coraz wyraźniej zaczyna wspominać o tem, że plebiscyt taki należałoby zarządzić również w Austrii, Kłajpedzie, Gdańsku i innych miejscowościach, gdzie jest ludność niemiecka.

Rzecz zrozumiała, Niemcy chcieliby takie głosowanie zarządzić przedewszystkiem w Kłajpedzie. Jest to z punktu widzenia niemieckiego linja najslabszego oporu. Gdy się zacznie od Kłajpedy, łatwiej by się dało przejść do innych miejscowości, gdyż byłby już stworzony precedens. Z tego względu oświadczeniami Hitlera co do Kłajpedy bardzo się zainteresowali wszyscy sąsiedzi Niemiec.

W mowie Hitlera były w sposób bolesny poruszone interesy państwa litewskiego. W związku z tem minister S. Zagr. Lozoraitis nie mógł pozostać mowy Hitlera bez odpowiedzi. W swym komunikacie o litewskiej polityce zagranicznej, wygłoszonym 31 maja w Klubie Oficerskim min. Lozoraitis wskazał przedewszystkiem na to, że polityka li-

lewski zaważwał naprzód lekarza Stürmera, a na dwa dni przed zgonem przywołał na konsylium lekarzy von Puteren i Esche.

Gdy 16-VI 1869 r. bp Łubieński skonał, po wolni rozkazowi miejscowego gubernatora spisali protokół o chorobie, określając ją jako tyfus. Wobec warunków, w jakich wystawiono ten dokument, nie zasługuje on wcale na wiarę i tchnie sztucznością, nie tyle bowiem mówi o chorobie, na którą zmarł nieboszczyk, ile wylicza jakby z podręcznika lekarskiego najzwyczajniejsze objawy tyfusu brzuszego, jako takiego. Jednak uczciwość fachowa tych lekarzy dała znać o sobie, mówią bowiem w dwóch punktach: raz, że może być to gorączka tyfoidalna, acz przyznają otwarcie, iż *nie wiedzą co to za choroba*, drugi—że środki lekarskie były *bezszykowne*, atoli ich zgoła nie wymieniają. Jakież naprawdę objawy chorobliwe były u biskupa? Otóż oprócz wymienionych już wymiotów miał tak strasznie spalone usta i język, że przez to mowa mu była odjęta, ponadto znosił ogromne cierpienia wewnątrz swego silnego dotychczas organizmu. Po zatruciu wypił zaraz dużo mleka i potem już nic oprócz mleka nie przyjmował.

Chciano zwłoki biskupa sprowadzić z wygnania do kraju i pochować stosownie do jego życzenia w katedrze sejneńskiej, w lewej jego nawie, obok innych leżących tu diecezjalnych biskupów i sufraganów, lub przynajmniej do rodzinnych grobów w Wiskitkach. Władze carskie znowu odmowy zasadniczej nie udzieliły, lecz sprawę tę traktowały niechętnie, aż rodzina Łubieńskich straciła wreszcie nadzieję sprowadzenia ukochanych zwłok do kraju. Wzniosła mu tylko piękny pomnik na rz.-kat. cmentarzu w Niższym Nowogrodzie.

Pogrzeb był nader cichy, bo z pobliskiej Moskwy nikt z księży na pogrzeb nie przyjechał, a ludność katolicka zdobyła się na swoisty protest za ten czyn haniebny, i w swjej większości udziału czynnego w uroczystości żałobnej nie wzięła. Przyglądała się nawpół w drzwiach, nawpół na ulicy. Więc za trumną kroczyli tylko wice gubernator baron Frederiks (późniejszy minister dworu carskiego), policmajster, żandarmerja i policja. Można wyobrażać, jak się czuć musieli.

Czy możliwą jest sama hipoteza otrucia przez rząd rosyjski bpa Łubieńskiego? Skoro ręka tego

tewska jest polityką Ligi Narodów, to znaczy, że Litwa dąży do powszechnego pokoju i bezpieczeństwa, opierając stosunki międzynarodowe na zasadach prawa i sprawiedliwości. O ile tego nie udało się dotychczas osiągnąć wskutek pewnych luk w statucie L. N., tem niemniej trzeba dokładać wysiłków dla wypełnienia wspomnianych luk. Brutalna siła ze stosunków międzynarodowych musi być wyłączona. Jest wiele objawów, które świadczą, że wcześniej czy później zostanie to osiągnięte. Najważniejszym brakiem organizacji L. N. jest to, że nie posiada ona siły do zmuszenia nieposłusznym członków, którzyby wykonywali postanowienia paktu. Luka ta usunięta zostaje w ten sposób, że w granicach paktu L. N. tworzone są traktaty wzajemnej pomocy. Szczególnie ważne są pod tym względem pakt Sowietów z Francją i Czechosłowacją.

Pakt Ententy Bałtyckiej ma ten sam cel, gdyż zapewnia wzajemną pomoc dyplomatyczną i polityczną trzech państw bałtyckich odnośnie bezpieczeństwa którejkolwiek członka Ententy. W ten sposób żadne z państw bałtyckich nie może być wyłączone z opracowywanych obecnie systemów bezpieczeństwa. Stan ten jest szczególnie doniosły obecnie, kiedy kierownictwo Rzeszy publicznie i otwarcie mówi o wyłączeniu Litwy z paktów o nieagresji. Wyłączenie takie jest sprzeczne z zasadą niepodzielnego pokoju.

Min. Lozoraitis stanowczo odparł zarzuty Hitlera, wykazując, że w Kłajpedzie jest nie 140 tys., a tylko 60 tys. Niemców, których prawa są chronione przez litewskie ustawy i konwencję kłajpedzką. Zdaniem min. Lozoraitisa zasady wymienione w przemówieniu Hitlera, a więc pokojowość, świętość traktatów, niewtrącanie się do spraw wewnętrznych innych państw, równouprawnienie, rozbrojenie moralne i t. d. wystarczyłyby do uregulowania stosunków litewsko-niemieckich, Do tego trzeba tylko dobrej woli. Litwa ze swej strony już ją wykazała. Może więc być spokojna co do swego honoru, zwłaszcza, że w dziedzinie honoru przemoc materialna jest i będzie bezsilna.

Odpowiedź min. Lozoraitisa na przemówienie Hitlera znajdzie żywe echo w duszy każdego Litwi-

na. Dlatego też odpowiedź ta Niemcom się nie podobala. Zniekształcając przemówienie min. Lozoraitisa i przemilczając o niemiłych dla Niemców ustępach, pisma niemieckie odpowiedziały nowym wymyśleniem. Wydaje się, że nie usłyszy się już poważnego głosu z tamtej strony Niemna. Nie pozostaje więc nic innego, jak tylko skorzystać z praw, które Litwa posiada, jako członek L. N. Litwa, lojalnie wykonując wszystkie swe międzynarodowe zobowiązania, ma prawo żądać, by postępowano z nią uczciwie. Obowiązkiem L. N. jest stworzyć potrzebne warunki. Niemcy do 14 października są jeszcze członkiem Ligi Narodów i pakt L. N. jeszcze je obowiązuje.

Klasyczne wzory kaligrafii politycznej.

Szperając w starych gazetach, często można przypadkowo natrafić na rzeczy bardzo ciekawe i bardzo pouczające. Ma się czasami wrażenie, iż nawet politycy, którzy robią w Polsce „deszcz i pogodę”, korzystają z dawnych archiwów b. carskiej Rosji, by czerpać stamtąd natchnienie do swych politycznych posunięć. Przynajmniej analogie, które mamy na myśli, uprawniają do takich wniosków.

A mamy tu na myśli akcję polszczenia cerkwi prawosławnej w państwie polskim, która zakrojona została na szeroką skalę. Nawet „demokratyczny” organ byłego kierownika departamentu wyznań religijnych niedawno uzasadniał potrzebę takiej akcji, stwierdzając, iż „racja stanu” nie może dopuścić, by w cerkwi panował obcy państwu język rosyjski: „racja stanu” wymaga, by jego miejsce zajął.. język polski, aczkolwiek ludność prawosławna niemal całkowicie składa się z Białorusinów i Ukraińców, w nieznacznej tylko ilości — z Rosjan. Co prawda, pewni „statystycy” (czy może — statystyci?) wykryli w Polsce 600.000 prawosławnych Polaków (vide „Sprawy Narodowościowe”), lecz wiadomem jest powszechnie, iż tych 600.000 Polaków prawosławnych istnieje tylko w bujnej wyobraźni owego „badacza”.

Otóż rozumowanie obrońców rozpoczętej akcji

rządu mogła się podnieść na życie też wziętego na wschód Rosji, przedostatniego chełmskiego władcy Kalińskiego, który zginął od uduszenia, dlaczegożby ta możliwość musiała być już zgóry wykluczona przy deportacji bpa Łubieńskiego, tem więcej, że istniało wówczas ogólne przekonanie, iż tenże sam oficer żandarmów Kurzelewski towarzyszył obydwoim?!

Vox populi w Rosji, w kraju i zagranicą zgodnie wyrzekł wtedy—otruty. Wszyscy byli o tem przekonani, *nie wyłączając samych Rosjan*, którzy też głośno o tem rozprawiali, nieraz nawet w swych klubach. Pełny niedomówień końcowych artykuł o b. p. Łubieńskim dał swego czasu poważny skąd inąd *Istoriczeskij Westnik*.

Świadcami klasycznymi w całej tej sprawie mogli być pułkownik Kurzelewski i kucharz Leon, którzy obaj po tragicznym zgonie, jeden swej ofiary, drugi swego pracodawcy, wrócili do kraju. Oczywiście, pod warunkiem, że chcieliby powiedzieć wszystko. Otóż w kilka tygodni, po śmierci biskupa, zjawił się do kraju via Petersburg pułk. Kurzelewski i zwrócił pozostałe po nieboszczyku kufry, zawiera-

jące t. zw. srebra biskupie, szaty liturgiczne, ubrania i t. d. Nie żądał żadnej zapłaty ani za ten transport z Niższego Nowogrodu, ani za pogrzeb. Względnie późny zwrot tych rzeczy tłumaczył pilnymi interesami służbowymi, jakie musiał załatwić w stolicy. W parę dni po tej wizycie, zjawił się też u rodziny Łubieńskich kucharz Leon. Wrócił znękany, złamany i sprawiał na wszystkich wrażenie przygnębionego. Mówił o zaszłem tajemniczo, krótko, zawsze to samo, jakby nauczył się na pamięć, a jednak się plątał, skoro mu zadano jakieś pytanie. Pierwej niż przybył do rodziny zmarłego, siedział kilka tygodni w Warszawie internowany w koszarach u wachmistrza żandarmów. Teraz ustawicznie a z naciskiem tłumaczył się, że ów fatalny kompot z pomarańcz w Orle nie on sporządził dla biskupa, lecz Kurzelewski. Wreszcie opowiedział, że u biskupa, gdy był już na łożu śmiertelnym, zaraz zupełnie szerniały wargi, a trzymany przezeń w trumnie pastorał, w tem miejscu, gdzie go dotykała ręka zmarłego, także zupełnie szerniała. Pełna życzliwości dla starego sługi, patryarchalna rodzina Łubieńskich chciała zapewnić dłoń u siebie dożywocie na warunkach, jakiego

poloszczenia prawosławia, która już się zrealizowała częściowo w postaci kazań polskich (Wilno, Białystok), a w dalszej przyszłości przewiduje wprowadzenie języka polskiego do liturgji—ogromnie przypomina rozumowania inicjatorów okólnika rządu rosyjskiego z okresu Stołypinowskiego (rok 1911), który miał wprowadzić język rosyjski do kościołów na terenie Grodzieńszczyzny. Wówczas w „Kurjerze Litewskim” z dn. 9.VI.1911 ukazał się artykuł znanego publicysty polskiego W. Baranowskiego, który w sposób następujący referował i komentował artykuł naczelnego organu kadetów rosyjskich „Riecz” w tej kwestji. Przytaczamy go w całości.

„Od pewnego czasu wiszą nad nami zapowiedzi niby jakichś inowacy; znów w życiu kościelnem. Inicy tywa ich wyjść ma jakoby... od ministerjum spraw wewnętrznych. Niezrażone niepowodzeniami lat dawnych marzyć się ono zdaje znów o rusyfikacji przez kościół. Dla katolickiego ludu białoruskiego wprowadzić pragnie nabożeństwo w języku rosyjskim. W ten sposób kierownicy obecnej polityki wewnętrznej Rosji spodziewają się „wyrwać białorusina z pod wpływów polskich”. Tak to się oficjalnie nazywa, a w samej rzeczy znaczy: wchłonać białorusina w nienasycone wielkoruskie morze. Nacjonalizm rosyjski nie próżnuje. Apetytów mu nie brak. Muszą tam jednak u góry krzyżować się jakieś sprzeczne prądy, bo prasa reakcyjna wciąż jeszcze kogoś przekonywa, i apelując do serc łście rosyjskich, pyta: rosjaninem, czy też polakiem ma więc zostać białorusin katolik?... Gdy tak postawiono kwestję — w sam czas odzywa się głos białoruski, i odpowiada: „ani jednym, ani drugim...”, białorusin katoliki czy też prawosławny pozostanie sobą”. Taki jest sens moralny obszernych artykułów jakie w sprawie stosunków białoruskich zamieścił właśnie w „Rieczy” utalentowany działacz i publicysta białoruski, używający pseodonomu Nowina.

Dając obszerny zarys ruchu białoruskiego w ciągu lat ostatnich, stwierdza on, iż poczucie odrębności narodowej zapuszcza w ludzie białoruskim korzenie coraz głębiej. Luświadamiąjących go przybywa. Tak np. w ostatnich czasach kierunek narodowy zaczął ujawniać się i pośród duchowieństwa katolickiego podobno, które w pewnej swej części ruchem białoruskim ludowym przejmując się zwolna. Proces to powstający dopiero, ale widoczny. Białorusini-narodowscy oblecywali sobie po nim dużo.

Alłiści p. Stołypin znalazł inny sposób uchronienia ludu białoruskiego od „polonizacji”. „Postanowił on — czytamy w „Rieczy” — wykreślić wprost białorusinów z liczby plemion Rosji, tak, aby o nich spór był niemożliwy. Wszyscy oni i katolicy i prawosławni—to „najczystszi rosjanie”. Szczególnie, opierając się widocznie na „wyjątkowej” znajomości stosunków w gub. grodzieńskiej, w której ongi służył, z właściwą sobie bezapelacyjnością oświadczył pan prezes ministrów, że

sem on sobie zechciał wyznaczyć, lecz niczem się nie dał do tego nakłonić, rychło wyjechał na głuchą prowincję, gdzie po nim niebawem zaginął wszystkie ślady i w żaden sposób nie można już go było odszukać.

Do bliskiej krewnej zmarłego Róży Sobańskiej i grona jej znajomych ówczesny pap. Pius IX, powiedział podczas prywatnej audiencji, że winszuje im *krewnego męczennika*, przyczem dodał: *Posyłałem na miejsce dla zbadania okoliczności tej śmierci, która już dla mnie żadnej wątpliwości nie przedstawia*. Nic w tem zresztą dziwnego, bo zagra-nica b-pa Łubieńskiego znała oddawna i interesowała się nim zawsze.

Rzecz pewna, kropką nad i byłoby przyznanie się do winy pułk. Kurzelewskiego lub — chemiczny rozbiór. Nie mając i nie mogąc dziś już mieć pier wszego, poprzestaniemy nad drugim. Zwłoki biskupa spoczywały przez trzy dni w trumnie ze wszystkimi insygnjami urzędu biskupiego, a więc i z pastorałem w rękę, który jednak potem jako pamiątkowy znowu wyjęto, rozkręcono na części i schowano do kufra. Pastorał ten przechowuje się z pietyzmem w rodzi-

w gubernji tej żadnych białorusinów niema, a są tylko rośja. nie katolicy, dla których niezbędnem jest wprowadzenie kazań w kościele nie po polsku i nie po białorusku, lecz w „języku państwowym”.

Jeśli zamiary p. Stołypina wejdą w życie, nie przyniosą one nic dobrego. Eksperymenty tego rodzaju wszak były i zostało po nich wspomnienie okropne. Tu przypomina i słusznie p. Ant. Nowina, jak nędzne były skutki „działalności” głośnego ks. Sęczykowskiego, który podjął się w nas w siódmym dziesiątku zeszłego stulecia propagandy nabożeństwa katolickiego po rosyjsku. Miał za sobą poparcie wszystkich władz i cóż?... Ledwie 32 księży udało się zmusić do podpisania zobowiązań odośnych, a i ci wykrecali się od narzuconego im żądania jak mogli. Entuzjastycznie oddany Sęczykowskiemu biograf jego A. Zyrkiewicz, widzący w nim nieledwie bohatera, przyznaje jednak, że agitacja jego i jej przeciwdziałanie wywołały „całe piekło”.

Tak było — powiada publicysta białoruski — w początku w początku l.t 70-tych, kiedy masy ludowe ledwie zostały wyzwolone, kiedy ciążyła nad niemi wiekowa apalja, kiedy świeża jeszcze była pamięć unji... Od tej pory zmieniło się niemalo. Białorus nie jest już tak bierny, a język polski w kościele, właśnie dzięki akcji rządu, stał się dlań poniekąd świętością. Stawiają więc nową interwencję w dziedzinie życia religijnego Białejrusi; p. Stołypin—pisze „Riecz”—zrobi krok, „który oprócz skrajnych nacjonalistów nie zadowoli nikogo, wniesie w masy ludowe ferment i wywoła, być może, szereg poważnych stać katolickiego ludu na Białejrusi z władzą państwową”.

Wszelkie represje, stosowane do języka polskiego w kościele, zawsze utwierdzały tylko jego stanowisko, jego znaczenie polityczne i moralne. A tego znowu „narodowcy” białoruscy nie pragną, to też artykuł swój kończy p. Nowina słowami „strzeż nas Boże od przyjaciół!”... mając tu na myśli oczywiście petersburskich obrońców Białejrusi od wpływów polskiej kultury. Wyemancypowanie się z pod wpływów tych może nastąpić tylko samorzutnie przez wzrost śród białorusinów ich samowiedzy.

Nie trzeba być prorokiem, by wiedzieć, iż taki pogląd nie mógł się spotkać z aprobatą organu nacjonalistów rosyjskich, płynącego u nas, jak statek wiozący kontrabandę, pod fałszywą białoruską banderą.

„Białaruskaja Żyżń” to największy wróg „Naszej Niwy” i tego, co białoruskie naprawdę. Zbudzenia Białejrusi, pogłębiania się w niej świadomości narodowej, poczucia odrębności, pragnienia wytworzenia własnej, swoistej kultury „Bieł. Żyżń” nie uznaje a priori. Nic podobnego niema... Jest to tylko jakiś ruch „stworzony przez polaków w celach politycznych”. Więc i te gazety i broszury, nawołujące do „odpolaczenia”, mają być wydawane dzięki polskim wysiłkom. Na takie urojenia niema odpowiedzi... Niech sobie zresztą „Bieł. Żyżń” w dalszym ciągu neguje nowe prądy, przebiegające senny i ociężały jeszcze, lecz już ożywiający organizm Białejrusi, niechaj zamyka oczy na coraz widoczniejszą rozbieżność tej „sztucznej agitacji”, jaką dla niej jest propaganda idei

nie Łubieńskich, zanim nie wyda ona z siebie piętnastego biskupa, któryby go ponownie ujął do ręki. W sprawie, czy naprawdę b-p Łubieński został otruty, pastorał ten odegrał niezmiernie ważną rolę niemego, a jednak mimo to jakże wymownego świadka! Właśnie część pastorału, która po trzydziestu latach zachowała na sobie wyraźną czarną powłokę, została w końcu lat dziewięćdziesiątych wywieziona z Warszawy zagranicę, gdzie w pierwszorzędnej pracowni chemiko-technicznej, poddano ten czarny osad skrupulatnej analizie, za pomocą częściowo chloroformu, częściowo wodnego roztworu cyanku potasu. Po szeregu badań, nalot na pastorał dał niedwuznaczny a niezbity dowód, że zawierał w sobie bardzo znaczne ilości arszeniku, które zostały wprowadzone do organizmu osoby, co z tą laską po zgonie kontaktowała. Widać odrazu nie dano wielkiej dozy trucizny, lecz zwiększano ją stopniowo. Powiększało to cierpienie, myliło lekarzy, ale skutek robiło niezawodny.

To, że rząd tak niebacznie dla siebie oddał pastorał w tym stanie Łubieńskim, można wytłumaczyć tylko brakiem przezorności, nieświadomością

odrębności wśród białoruskiego ludu. To ukrywanie prawdy przed nacjonalizmem rosyjskim w jego pochodzie na Zachód zwycięstw mu nie przysporzy. Oślepi go raczej i doprowadzi do starć niespodziewanych. Nie uważamy jednak za potrzebne rozsiewać błogich złudzeń p. Sołoniewicza. Zgoda... Ruchu białoruskiego niema, jest tylko p. Sołoniewicz w Wilnie i Wszechrosyjski Związek Nacjonalistów w Petersburgu. I dwie te potęgi o przyszłości 10 milionów białorusinów będą stanowić jedynie. A tak są ufne w siebie, że, kto by się spodziewał... z „Biel. Żyżń” z „przymusowego wprowadzenia języka rosyjskiego do kościoła” kwituje. Ale prawda... to ten rodzaj nacjonalizmu, który się czegoś nauczył. Nauczył się mianowicie: nie spieszyć... Wierzy on, że i tak dzieła rusyfikacji, gdzie tylko można, stopniowo dokona. Moralny podbój „kresów” przez neopatrijotyzm rosyjski nastąpić musi... Środków na to i subsydjów petersburski „sojuz” znajdzie dosyć. Nie wszystkie jednak cuda są zdolne działać subsydja. Na podbój narodowy kresów wybrano się też nieco zapóźno”.

W. B—ski.

Jak to wszystko przypomina dzisiejsze twierdzenia pewnych czynników w Polsce, iż „ruchu białoruskiego — niema”, iż inteligencja białoruska, nawet posłowie białoruscy, przez lud wybierani do Sejmu, nie mogą zabierać głosu miarodajnego w sprawach tego ludu, że należy mówić z ludem bezpośrednio — „ponad głowami” wybrańców jego! I — jak przedziwnie zgadza się stanowisko obecnego „Kurjera Wileńskiego” w sprawie polszczenia prawosławia ze stanowiskiem nacjonalistów rosyjskich, których ów przedwojenny „Kurjer Litewski” tak ostro krytykował!

Mądrość polityczna Stołypina, którą jeszcze tak niedawno słał organ p. Meysztowicza, w Rosji, jak wiemy, zbankrutowała. Ale, widocznie, chwalczy i naśladowcy jego polityki w Polsce o wyniki tej polityki mniej dbają: dość, że mogą naśladować gotowy wzór. że tam, w ś.p. carskiej Rosji, mają „bratnie dusze”... I dziś, gdy naród białoruski dokonana już pracą nad stworzeniem kultury narodowej dowiódł swej żywotności, a aktem proklamowania niepodległości Białorusi — politycznej dojrzałości, spadkobiercy ideologii Piotra Arkadjewicza, parafrazując twierdzenie nacjonalistów, iż ruch białoruski był „stworzony przez Polaków w celach politycznych”! identyfikują ruch ten z... komunistyczną dywersją.

Należy jednak stwierdzić, iż obecna akcja nacjonalistyczna na Białorusi posługuje się metodami bardziej

nowoczesnymi, niż robił to rząd Stołypina. Nakład pieniędzy i wysiłków w tej dziedzinie jest bez porównania też większy. Ale to, co przeżył naród białoruski w ciągu ostatnich 25 lat, nie daje nadziei na pomyślne wyniki Kulturkampf, i możemy powtórzyć za p. W. B-skim:

„Nie wszystkie cuda są zdolne działać subsydja. Na podbój narodowy kresów wybrano się też nieco zapóźno”.

H. B.

Wystawa litewskiej sztuki ludowej w Wilnie.

Litewskie T-wo św. Kazimierza w Wilnie urządziło w miesiącu bieżącym, dla uczczenia dziesięciolecia swego istnienia, pierwszą wystawę sztuki ludowej w Wilnie, która otwarta została, w drugim dniu świąt Zielonych, w gmachu gimnazjum litewskiego (Dąbrowskiego 5). Wilno znało już małe pokazy tych wyrobów, lecz tylko obecny zasługuje na miano wystawy, tak ze względu na bardzo dużą ilość eksponatów (rozumie się, wysortowanych spośród istnych stert, dostarczanych i wciąż jeszcze przywożonych przez wieś litewską), jak na wartość. Nie brakowało sceptyków, którzy już zgóry wiedzieli, że nic z tego nie będzie lub coś b. małego. Jak się okazało, grubo się oni mylili, rzeczywistość bowiem przeszła znacznie oczekiwania nawet optymistów.

Wystawa się mieści w tyle pamiętnej dla Wilna b. „sali klubu Poleskiego”, dziś gimnazjum litewskiego, zajmując ponadto cztery pokoje. Punktem szczytowym wystawy i legitymacją z podjętego a przeprowadzonego przedsięwzięcia, jest jednak dziś nie ta ładnie ozdobna a okazała sala, lecz pierwsza od drzwi na lewo, gdy wkraczamy z westybiulu, która na wystawie niniejszej pełni funkcje reprezentacyjne względem litewskiej sztuki ludowej. Już tylko dla obejrzenia zebranych w niej tkanin, warta jest cała wystawa odwiedzin.

Od niej więc rozpoczniemy naszą wędrówkę po lokalu wystawowym.

o zdradzieckości tego sprzętu biskupiego, jak też zamieszaniami, które towarzyszyć miało pakowaniu rzeczy, płaceni rachunków hotelowych i wyjazdowi z powrotem.

Z początku rząd rosyjski starał się podsunąć myśl, że biskup... sam się otruił, lub że został otruty przez swego kucharza Leona. Nikt temu ani przez chwilę nie wierzył. Wobec tego rząd uznał dla siebie za lepsze trzymać się potem taktyki uporczywego milczenia. Śladami jego poszli też ci wszyscy dygnitarze rosyjscy, którzy niegdyś nawet się przyjaźnili z rodziną Łubieńskich. Tymczasem zagraniczna prasa katolicka, z wybitnym publicystą katolickim Ludwikiem Veillotem na czele, publicznie oskarżała rosyjski rząd cesarski o dokonanie tego mordu. Prasa liberalna też o tem pisała, lecz oczywiście nie brała tej sprawy zbyt do serca.

Znamy już wykonawcę tego ohydneho mordu, ale pytanie, kto wydał taki wyrok, dotychczas nie jest jeszcze rozwiązane. W każdym razie, nie da się zaprzeczyć współwina i przeto współodpowiedzialność.

*

Kontynuator słynnego historyka ks. Pawła Pierlinga T. J., autora klasycznej pracy *La Russie et le Saint Siege*, też uczony jezuita ks. Adrijan Boudou (b. sekretarz ś. p. msgn. Zechiniego, za pobytu jego w Kownie) poruszając w ostatnim tomie swej pracy, noszącej w przekładzie polskim tytuł: *Stolica święta a Rosja*, stosunki dyplomatyczne między niemi w w. XIX, udziela sporo miejsca postaci b. pa Łubieńskiego. Niestety, ks. Boudou nie rozumie go dobrze w tym ostatnim okresie jego życia i, jak zwykle wtedy bywa, niezbyt przyjaźnie doń się ustosunkowuje. Historyka dyplomacji papieskiej jawnie razi teraz w naszym biskupie brak serwilizmu w stosunku do Rzymu, a ujmowanie przezeń różnych zagadnień z życia kościelnego nie tylko z punktu widzenia kanonisty, lecz z uwzględnieniem tła psychologicznego, nazywa... niejasnością, gmatwaniem i rozwlekłością. Co ciekawsze, ks. Boudou przeczy temu, że biskupa otruto, załatwiając się ze sprawą tak ważną tylko w odnośniku kilkowerszową notatką tej treści: *Rozesła się pogłoska, że biskupa otruto. Biograf jego poświęca cały rozdział dowodom tego. Jego (jednak) dowody są bardzo słabe i nie upoważniają do*

Litwa, to kraj, gdzie zima, ze wstępem nieraz już wrześnieowym, a końcem dopiero na Kupale, trwa jeśli nie trzy czwarte roku, to akurat półrocze. Widnokreśli jej zasnuwa las lub mgła, albo oboje razem. Taki kraj szczególnie musiał być podatnym dla rozwoju magji barw. Ukochanie ich, głębokie odczucie znamionuje od niepamiętnych czasów duszę Litwina, a zwłaszcza Litwinki. Niebogata w słońce, lazur..., a tonąca przez większą część roku w szarym mgieł i deszczów, w czerni ziem i błot i w ciemnym brzoście chat, kozuchów i chust, psyche ludu litewskiego poczęła oddawna stwarzać w najbliższym otoczeniu człowieka—litewskiej chacie—sztuczne, bo ręką człowieka zrobione; łąki i łączki (dywany, derki, obrusy), drogi, dróżki (chodniki i chodniczki oraz dywaniczki), ba! nawet większe widnokreśli (kilimy)... Przypominały one zimną Litwinom i Litwinkom bądź wczesne kwiaty pierwszej wiosny, bądź krótkotrwały przepych letni rodzimej flory, bądź pożegnalne kwiaty jesieni litewskiej.

Stąd chata litewska jest przez rok cały taka barwna, kolorowa, wzorzysta, roześmiana, a ze wszystkich jej kątów patrzy na nas tu czerwień meków i malw, tam szafir bławatków, ówdzie złoto słoneczników i kaczeńców lub fiolet powojów i dzwoneczków polnych...

Otóż, co najpiękniejszego wileńska Litwa w dziedzinie tkactwa posiada i wytwarza, znajdujemy zebrane w tej sali. Ileż tu piękna, a z niem razem spokojnej cichej radości, które z sobą niesie i daje człowiekowi! Ileż odcieni w granicach każdego pojedynczego koloru! Inaczej wyglądają wzoryste tkaniny z nici konopianych, inaczej z lnianych, jeszcze inaczej przy kombinacji jednych z drugimi. Że wieś litewska ma len i konopie, no to każdy wie i rozumie, ale skąd ona wzięła te śliczne, a tak różne w odcieniach barwy! Dlaczego tkaniny te oczarowały, czasu wojny światowej, Niemców, których ojczyzna jest bez konkurencji, jeśli chodzi o wytwarzanie najlepszych barwników (Farbenindustrie)!... Jakaż jednak monotonia, chociaż swoiście piękna a efektowna, jest w porównaniu z litewskimi tkaninami, w pasiaku łowickim! Czegoż tylko, jak się okazuje, nie używa Litwinka, gdy chce zabarwić swe nici?!... I rdzawego osadu na zawiera-

jącej żelazo wodzie (takie źródła są np. nad Niemnem), i atramentów przeróżnych, i „sinki”, i różnych liści barwiących, i farbek do jaj... Zna też sposoby, jak zawczasu wypróbować harmonję lub kontrastowanie kolorów, by praca nie była daremną i nie pozbawiła wykonawczyni zadowolenia estetycznego.

Zresztą czy może mieszczuch urodzony to wszystko wiedzieć lub chociażby zrozumieć, jeśliby litewska prządka—tkaczka zechciała go nawet wtajemniczyć w swój kunszt, przekazywany z pokolenia w pokolenie?! Nie, nigdy. Więc schylmy czoło ze czcią przed może najpiękniejszym wcieleniem wielkiej sztuki w zagadkowy świat sztuki ludowej. Ludowej, ale wcale nie prymitywnej, bo co przemysłne ręce Litwinki wykonać w dziedzinie tkactwa mogą, jest najprawdziwszą a najprzedniejszą sztuką. W dużej sali gimnazjalnej widzieć można kilka zdjęć grupowych, przedstawiających wybitniejsze wykonawczynie celniejszych eksponatów, trzymające nie bez poczucia słusznej wartości własnej naręcze odsyłanych do Wilna tkanin. Wszystkie twarze żywe, pełne wyrazu, swoiście inteligentne, całkiem wolne od tej tępoty, którą zbyt często widzimy na twarzach wiejskich dziewcząt i kobiet.

Najbardziej artystycznymi wyrobami wyróżnia się i słynie *Twerecz* i jego kolice w pow. święciańskim. Znowu najbardziej zachował się układ dawny życia chaty litewskiej w okolicach *Marcinkańc*. A wszędzie, i tu i tam, uderza w ten układ życie rdzennie litewskiego nieodłączny z niem kunszt tkacki miasta i miasteczka ze swoją ohydą i tandetą. Nie można bez bólu słyszeć o tem, jak mniej lub więcej wprawna tkaczka litewska, zobaczywszy przez niedomknięte drzwi u pana nauczyciela lub u pani kierowniczkę jakąś nędzną miejską makatkę lub poduszkę o hafcie *Richelieu*, zapala się wnet do niemądrego naśladownictwa widzianej nowostki. Jest na wystawie kilka celowo umieszczonych takich właśnie prób bezmyślnego małpiarstwa, jak np. kilimek o deseni, gdzieś skradzionym i skopjowanym z... ceratki stołowej.. Jakżeż można porzucać bez żalu owe stylizowane kwadraty, koła, liście dębowe i winogronowe, wazoniki z kwiatkami, koguciki i koniki i w. in. typowe dla litewskiej sztuki ludowej moty-

podejrzewania rządu rosyjskiego o tak wstrętą zbrodnię, z której niewiadomo zresztą jakiej korzyści mógłby się spodziewać. Tyle. Jakkolwiek zawsze cieśzę się serdecznie, ilekroć uda się komu sumienie dawnej Rosji odciążyć chociażby z jednej winy (np. obalenie legendy o Makrynie Mieczysławskiej), trudno mi, i w tem chyba nie będę odosobniony, uznać fakt otrucia b-pa Łubieńskiego za wymysł złośliwy z nienawiści do Rosjan.

Wystarczy wziąć pod uwagę fakty następujące: Ród hrabiów Łubieńskich lojalny aż do ugody, dobrze widziany u dworu cesarskiego, jako ziemiańsko-konserwatywny, a tyłu węzłami spokrewniony z rosyjską najwyższą arystokracją, raczej może być pomówiony o wszystko niż o rusofobję. Teraz dalej. Czy przytoczony w pierwszej części tego artykułu fakt zgonu biskupa z powodu wprowadzenia do organizmu jego znacznej ilości arszeniku, może być w świetle cytowanych wyżej dowodów, nazwany *tout court* pogłoską? Żadną miarą nie! I kto chce go naprawdę obalić — owszem, wolno każdemu próbować tego — musi postarać się o ważkie kontrargumen-

ty, których u ks. Boudou nie spotykamy ani śladu.

Wszelka bowiem zbrodnia to ma do siebie, że jej natura i tendencja zmierzają wprost do zatarcia dowodów, więc przezornie do ich największego osłabienia. Inna już rzecz — fakt zbrodni otrucia, a inna — trafne określenie osoby — wykonawcy i przyczyny sprawczej. Ostatnia daje zawsze pole do dyskusji, pierwsza atoli stoi dotychczas wcale mocno.

Niema rządu, któryby nigdy nie miał na sumieniu takiej lub podobnej zbrodni, więc wybielanie tu rządu rosyjskiego jest niewłaściwe. Kwestja znowu ewentualnej korzyści ze zbrodni nie jest ani bezprzedmiotową, ani chybną. Kryje się tylko ona w mrokach duszy zbrodniarza, bez różnicy czy nim jest jednostka czy jakiś kolektyw.

Nie obalił więc ks. Boudou faktu otrucia b-pa Łubieńskiego.

Erka.

wy, dla pozbawionych już wszelkiej myśli i zgoła wynaturzonych deseni szlaków cerat i ceratek?!

Tkaniny litewskie mają piękny rodowód, sięgający czasów zamierzchłych, gdy wydłużone łodzie wikingów z Bałtyku Dźwiną i Niemnem, częściowo i Wilją, zaglądały do stojących na nich litewskich osad rybackich i składów towarów krajowych, w dalekiej drodze do Grecji i Lewantu. Stąd przyszła do Litwy predylekcja do czerwieni, która po dziś dzień charakteryzuje skandynawski strój ludowy. Bardziej dziwne od tego jest pokrewieństwo barwistych tkanin litewskich z takimż Hiszpanji Południowej lub od niej bliższą typową kratką szkocką.

Środek tej sali zajmują stoiska z litewską białą stołową. Rzeczy wszystko solidne, gustowne... Są okazy co liczą lat 100, 70... Gotowe niemal tu są wyprawy dla wiejskich posażnych jedynaczek. Inny długi znowu stół zawiera pokazy koronkarstwa. Mniej ciekawe, bo nic lub prawie nic nie widzimy w niem typowo litewskiego. Ot sobie jakaś, za przeproszeniem babska międzynarodówka i tylko. Ciekawy tylko notujemy szczegół. W Suwalszczyźnie narzeczona ofiarowuje czasem swemu wybranowi wstawkę (koronkę?), której deseni zawiera słowa: *Kogo Kocham, temu darowuję*, swat zaś otrzymuje nieraz mniej przyjemny dar, bo koronkę ze słowami: *Swat jest kłamcą!*

Opuszczamy teraz salę z najbardziej charakterystycznymi dla ludowej twórczości litewskiej tkaninami i składamy krótszą już wizytę sąsiedniej salce, gdzie są zebrane wyroby o mniej czysto litewskim deseni i wykonaniu, dzięki jakimś pożyczkom u sąsiadów lub imitacjom przemysłu fabrycznego. Wyraźny to kontrast z salą poprzednią. Tam były spokój i radość, tu od razu oblatuje nas jakiś niepokój, maści się radość oka, rodzi się pewien zamęt, Coś nawet z hysterji. Stoimy zamieszani, jakbyśmy przed chwilą stracili z oczu, co było jasne, proste, naturalne, piękne a logiczne. Rzucamy okiem na mniej lub więcej, — niestety, przeważnie jednak mniej — fortunne dewiacje deseni, materiałów (niepraktyczne siatki o dużych oczkach), samych metod pracy. Jedynie godną tu uwagi jest podługowata tkanina, w formie laufra, z wytkanym na niej tekstem hymnu litewskiego i słupami Gedymina u góry, po obu rogach. Rzecz wykonana z pietyzmem. Na innej znowu ścianie widzimy tu kilimek z rzędem wytkanym nań figurek, które stanowią opowiedzianą mimicznie jakąś zabawną bajeczkę. Gdzieindziej wytkaną nazwiska wykonawczyń tkaniny, względnie jej właścicieli. Środek sali zajmują przeróżne w swym wyglądzie i wykonaniu ciepłe rękawiczki i palcówki i inne mniejsze części litewskiej garderoby wiejskiej.

Kolejna trzecia sala (duża reprezentacyjna) zawiera już tkaniny pospołu z litewską rzeźbą ludową. Rozmieszczone są tu wyroby tkackie przeważnie o barwach ciemniejszych. Mniej one bawią oko. Zresztą oświetlenie sali, mimo słonecznego popołudnia, nie wydaje się nam zbyt korzystnym dla tkackich eksponatów. Wspaniałą zato jest tu licząca co najmniej setkę kolekcja spodnic z przeróżnych tkanin ludowych, uszytych według mód wiejskich i zdobnych na swój sposób.

Oprócz okazów litewskiej rzeźby ludowej, a reprezentowane są tu działy: prymitywów religijnych, instrumentów muzycznych (własnego wyrobu skrzypce, gitary...), narzędzi gospodarczych, zabawkarstwa (prymitywy dziecinne z ogródków i ochronek), kraśzanek i in., zasługuje na szczególne w tem miejscu

wyróżnienie wszystko to, co wystawił art. rzeźbiarz Dowgiałłowicz z Zarzecza. Nic to, że dziś mieszka i pracuje w mieście, bo jest to jednak talent wyrosły a doszły do wysokiego stopnia rozwoju, na podłożu nawskroś ludowem. Wszystko, co wychodzi z pod dłuta tego artysty z Bożej łaski, nacechowane jest trudną do prześcignienia oryginalnością pomysłu i wykonania. Wszystko oparte wyłącznie na motywach ludowych. Wszystko z materiału swojskiego. A więc ucieszne „dziadki do orzechów”, płasko-rzeźby, fajki, łaski, pudełeczka (jedno z motywem upiornej dla Litwinek ropuchy!) i w. in. Na tem stoisku znalazło się też kilka antyków, np. kołowrotki z przed 100 laty, pudełko z przed 300 lat... Jeśli dodamy, że sala ta mieści mapę, na której przedstawiono rozmieszczenie oddziałów T wa św. Kazimierza na prowincji, i model wzorowej zagrody włościańskiej z odsuniętymi dalej niż zwykle budynkami gospodarczymi, to powiedzieliśmy o dużej sali wszystko.

Dla całości zostaje nam zająrzeć jeszcze do dwóch pokojów za nią. Pierwszy z nich mieści dużą kolekcję słynnych pasów litewskich, począwszy od tak szerokich, jak słuckie, którymi dawni litewscy *bajorasowie* przepasywali się na biodrach, a kończąc znowu na b. wąskich, mogących służyć niemal za dewizki przy zegarkach. Dziś najczęściej średniej wielkości z nich używane są jako krawaty. Wisi tu również kilka kilimów zrobionych z tych pasów. Są też wyroby ze słomy, przeważnie chodniki, tkane w litewskie desenie. Ścianę zdobi duży dwubarwny kilim, własność red. Rafała Mackiewicza. Zaleca się on czystością roboty, lecz z zielonego tła czerwieni deseni wybija się tak brutalnie ostro, że oko po chwili już uczuwa znużenie i radeby uciec co prędzej a odpocząć na rzeczy spokojniejszej. Zaiste są sprzęty, których obecność zdolna człowieka wypędzić z pokoju.

Wreszcie ostatni lokal wystawowy zawiera przeważnie tkaniny w całych sztukach. Niektóre z nich przetykane są jedwabiem, świecą złotem lub srebrem i nadają się bądź do odświętnych szat Litwinki, bądź jako dekoracyjne fartuszki przy stroju ludowym.

Szereg eksponatów już został sprzedany, i to po niezłych cenach. Obliczone na tygodni dwa trwanie wystawy ma się zakończyć konkursem i przyznaniem nagród, jakie mają na celu zachęcić litewskie tkaczki ludowe do dalszych starań nad podniesieniem tej gałęzi przemysłu ludowego.

Naprawdę wdzięczność należy się T-wu św. Kazimierza, którego wileńska centrala dokonała w krótkim czasie tak dużej pracy, organizując wystawę. Jednocześnie trzeba tu podnieść ofiarny, przeważnie nocny trud litewskiej młodzieży akademickiej (i to w gorącej porze egzaminów rocznych), która skrzętnie skatalogowała i rozmieściła ogromne zbiory, jak też cenną współpracę litewskich skautów, którzy się podjęli czuwania nad zachowaniem porządku podczas trwania wystawy.

Jedyny brak, usprawiedliwiony podobno mu-sem terminowego przygotowania sal wystawowych, stanowi niedostateczna przejrzystość całokształtu eksponatów, wskutek nieuwzględnienia podziałów Litwy Wileńskiej na regiony: święciański, trocki, lidzki i in.

Niech żałuje ten, kto wystawy tej nie zwiedził.

Jadźwing.

FELJETON.

Uśmiech.

Jakże różnym może być uśmiech.. Bywa uśmiech wesoły, pogodny i serdeczny, zgrzybiły, pogardliwy i sztywny, dobrotliwy i złośliwy, zagadkowy (Monna Lisa), swawolny i nieśmiały, szczery i obłudny, naturalny i wymuszony, ufny i niedowierzający, szyderczy i uwielbiający i wiele innych.

Uśmiechem, skalą uśmiechu, ludzie różnią się od zwierząt. Jest to najkapitałniejsza różnica. Wszystkie pozostałe są drugorzędne. Uśmiech ludzki zrodziła wielotysiącletnia ewolucja. Uśmiech jest najwięcej ludzkim objawem. Jednym małym uśmiechem można powiedzieć więcej, niż wielostronicowymi tyradami. Nie należy żałować uśmiechu.

Jeżeli przyjdzie do ciebie sekwestrator Urzędu Skarbowego z nakazem płatniczym na 700 złotych, a ty masz tylko 7 złotych całego majątku w portmonetce,—uśmiechnij się do sekwestratora, ale tak dobrze, poludzku, rozbrązając, pokazując mu wartość portmonetki. Byłby głazem, nie człowiekiem, gdyby ci zabrał rzeczy.

Gdy jest mowa o tem, że nasz Magistrat Wileński dobrze gospodaruje w mieście, uśmiechnij się na to odpowiednio, a całe ciało magistrackie stężeje w zupełnym bezruchu od twego uśmiechu. Nie będziemy mówili o całokształcie gospodarki magistrackiej. Weźmiemy tylko dla przykładu kropelkę, próbkę tej gospodarki: Plac Łukiski, a właściwie od paru lat — półplac i półrynek. W zimie urządza się tam bezpłatną ślizgawkę dla niezamożnych, a zwłaszcza dla dziatwy szkolnej. Ślizgawka ta zostaje urządzana dopiero wówczas, gdy przychodzi pierwszy wiew wiosenny, dający znać, że u nas nie cały rok panuje zima. Tak to Magistrat ślizgawką swą żegna uciekającą zimę. Czyż nie warto się uśmiechnąć?..

Przychodzi wiosna. Wypada plac doprowadzić do jakiego takiego ładu. Zieleniec?.. Niech będzie zieleniec. Dobrze już w maju zjawia się pług i w ciągu całego tygodnia zaorywa dwa hektary ziemi. Nie chłujnie rozorane pole zieje wyrwami między skibami i na coś czeka. Czeką na drapacza, na bronę, na wyzbiwanie kamieni, na zasianie rajgrasu, na przewalowanie. Niedoczekanie jego. Już druga połowa czerwca i nic. Złe rozorane pole. Niejeden przechodząc zakłnie głośno. I po co?.. Lepiej się uśmiechnąć.

Przyjeżdżasz do Wilna koleją, lub wyjeżdżasz stąd. Musisz się drapać po jakichś katakumbach, napić, nasapać, nadźwigać, zanim się dostaniesz do swego wagonu, aczkolwiek technicznie można doprowadzić do tego, aby wagony podchodziły do pierwszego peronu bez potrzeby forsowania przez nas podziemi z siedemdziesięciu schodami. Za każdym razem złorzeczysz Dyrekcji Kolejowej. Nie trzeba tego robić, należy się uśmiechnąć, ale tak, by Dyrekcja ujrzała twój właściwy uśmiech. Jutro już każde podchodzić pociągom do pierwszego peronu.

Jedziesz dorożką i zatrzymasz się koło Sztrala. Każesz dorożkarzowi poczekać na ciebie przez kwadrans, bo chcesz się napić kawy. Napewno przyjdzie policjant i wymierzy oczekującemu na ciebie dorożkarzowi mandat karny za niedozwolony postój. Nie gniewaj się oto, lecz uśmiechnij się, bo przecież ruch kołowy w Wilnie jest tak olbrzymi, że dorożka

stojąca obok Zielonego Sztrala może spowodować zahamowanie i sparaliżowanie całego ruchu pojazdów w Wilnie, co wywołałoby następstwa wręcz katastrofalne. Czem my jesteśmy gorsi od New Yorku, Londynu lub Paryża?..

Jesteśmy przejęci szacunkiem dla naszych prac ustawodawczych, a zwłaszcza cenimy maksymę, że nikt nie może tłumaczyć się nieznaną ustawą. Maksyma ta spewnością jest bardzo cenna, tylko że w Polsce trudno ją stosować, albowiem niema w całym państwie ani jednego człowieka, któryby znał wszystkie ustawy, panujące w Polsce. Chorują one na patologiczny przerost, który stworzył dzisiaj splot tak rozchaotyzowany, pogłębiony, zawikłany, niezrozumiały i odziany w tak niedostępny język, — że stanowi wręcz przykład czy wzór, jak nie powinno się pisać ustaw. I tutaj także się uśmiechnij, bo żadnym oburzeniem ani protestem nie powstrzymasz chorobliwej płodności polskich ustawodawców.

Lecz jeżeli przypadkiem jesteś redaktorem piśma i zdarzy ci się umieścić artykuł swego korespondenta o „Niedoli Polesia”, w którym autor boleje nad tem, że administracja miejscowa odbiega cokolwiek od ideału i że sekwestratorzy są często bezwzględni, lub też udzielisz gościny w swoim piśmie dziennikarzowi litewskiemu, który opowiada o bolączkach i pragnieniach ludności litewskiej, zamieszkałej na terenie Polski, i jeżeli w obydwóch wypadkach skonfiskują ci numery pisma, boć przeciw wiadomości takie „mogą wywołać niepokój publiczny”, coś w rodzaju rozruchów, powstania, czy rewolucji,—to nie uśmiechaj się lepiej, albo zrób to tak, żeby nikt nie widział.

Bolesław Szyszkowski.

Krajowa uroczystość.

Niewątpliwie wielką zasługą obecnego kierownika Biblioteki im. Wróblewskich dr. Stefana Burhardta jest doprowadzenie do końca rozpoczętego przez jego poprzedników dzieła i realizacja zamierzeń fundatora w dziesiątą rocznicę jego zgonu.

Dn. 3 lipca b. r. upływa właśnie 10 lat od śmierci s. p. Tadeusza Wróblewskiego, w dniu zaś 22 czerwca nastąpiło uroczyste poświęcenie lokalu, oraz otwarcie Biblioteki dla użytku publicznego. Liczni uczestnicy tej uroczystości podziwiać mogli wspaniałe gmach pałacu po-Tyszkiewiczowskiego, przerobiony i przystosowany do potrzeb bibliotecznych oraz będące na ukończeniu urządzenie wewnętrzne według najnowszych wymagań techniczno-naukowych. Zbiory Wróblewskiego doczekały się godnego pomieszczenia i zostały wreszcie udostępnione szerokim rzeszom czytelników.

Ziściły się w całej pełni marzenia ofiarnego zbieracza i bibliofila, który przed 50 laty rozpoczął swe dzieło gromadzenia ksiąg rękopisów, rycin i obiektów muzealnych w prywatnym, a tak głośnym w dziejach kulturalnych Wilna mieszkaniu, przy dzisiejszym placu Napoleona, w warunkach, zdawało się, nie rokujących żadnej nadziei na możliwość urzeczywistnienia rozległych planów ożywionego obywatelskim duchem mecenasa.

Uroczystość otwarcia Biblioteki swym charakterem odpowiadała w zupełności intencjom jej założyciela, który tak mocno, w ostatnich czasach zwłaszcza, podkreślał swe krajowe ideały. Zgromadzona publiczność składała się z przedstawicieli wszystkich narodowości, kraj nasz zamieszkujących, a w przemówieniach powitalnych nie brakło również słów, wygłoszonych w języku litewskim i białoruskim.

Szowinistom polskim mogło się to nie podobać, jak należy wnioskować z grubjańskich uwag sprawozdawcy „Słowa”, ale ci i za życia ś. p. Tadeusza Wróblewskiego namiętnie go zwalczali i rzucali mu bezustannie kamienie pod nogi. Nie przeszkodziło to jednak założycielowi Biblioteki wytrwać na swem stanowisku i osiągnąć rezultaty, przed którymi nawet dawni jego wrogowie dziś uchylają czoła z szacunkiem i uznaniem. Nie należy więc wątpić, że duch Zmarłego, patronujący nowo-otwartej instytucji, będzie stał mocno na straży odziedziczonych przez nią po założycielu trydycyjnej rzetelnej kultury i nie pozwoli wtargnąć do jej murów zgubnym nastrojom wyłączości i nietolerancji.

K. W.

Antysemityzm i katolicyzm.

W ostatnim dziesięcioleciu prasa wileńska, z lekkiej ręki pp. Charkiewicza, Piotrowicza i in., zamieściła niepomiernie dużo artykułów o akcji unijnej, prowadzonej wśród prawosławnej ludności naszego kraju. Stanowi tedy pewną lukę, że nic zgoła nie napisano u nas o istniejących w Wilnie od szeregu już lat misjach i czynionych przez nie próbach nawrócenia żydów wileńskich na protestantyzm lub katolicyzm. O tem właśnie chcemy tu pomówić.

Jeśli chodzi o wiek XIX, to za protoplastę ruchu misyjnego dla nawracania żydów litewskich uważać należy prof. uniwersytetu wileńskiego, kan. Jana Chryzostoma Gintyllę, który zostawił w rekopisie szereg wartościowych dzieł z dziedziny hebraistyki i polemiki chrześcijańsko-żydowskiej, a zmarł jako biskup nominat w r. 1857. Przed kilku laty „Przeгляд Wileński” poświęcił mu większy artykuł, podając nieznanne dotąd o nim szczegóły.

W powojennem Wilnie pracują, od czasu dłuższego, wśród żydów dwie misje—protestancka przy ul. Ludwisarskiej i anglikańska (Barbikańska) przy ul. Dąbrowskiego. Jakkolwiek praca pierwszej napotyka w Wilnie na ogromne trudności, (żydzi wileńscy stanowią materiał dla misjonarza bardzo oporny, a kadry misjonarskie nie są zawsze na właściwym poziomie) nie jest ona bezowocną. O ile ją znamy, to uważamy za prowadzoną poważnie a racjonalnie. Mniej nam są znane metody, sukcesy i mankamenta misji anglikańskiej, która na gruncie wileńskim wydaje się dość egzotyczną. Znane są stosunki Wilna z luterską Wittenbergą i kalwińską Genewą, ale cóż kiedykolwiek kraj nasz mogło łączyć z Henrykiem VIII?

Odpowiednikiem tych misyj protestanckich w Wilnie była zainaugurowana w zimie 1928-9 r. u św. Jana katolicka misja dla nawracania żydów, na której czele stanął teoretycznie znakomicie do niej przygotowany, p. Fryderyk Pistol, prawdziwy *Judaeo Christianus*, jaki od chwili swego nawrócenia przed kilkudziesięciu laty, zawsze zajmował jedynie rozumne a uczciwe stanowisko, głosząc słowem i piórem, z podniesionem czołem, że przyjmujący katolicyzm (wzgl. inne wyznanie chrześcijańskie) żyd powinien nadal pozostawać członkiem *narodowej* społeczności żydowskiej, a nie polszczyć się, ruszczyć, niemiecczyć... Niema większego odeń wroga wszelkich teoryj i mrzonek o asymilacji Izraela przez chrzest. I słusznie. Dziś nie wolno już mówić, że żydostwo pokrywa się bez reszty z pojęciem mozaizmu. Rozwój wypadków idzie w tym kierunku, że liczba Żydów, którzy z mozaizmem wzięli rozbrat

zupelny, zachowali natomiast poczucie przynależności narodowej, będzie ciągle wyrastać. Nie brak też wypadków odpadania dziś chrześcijan do judaizmu (świeżo było wiadomem o przejściu nań całej wsi na Polesiu), co też oczywiście nie może spowodować na poczekaniu zmiany narodowości w prozelicie, który dla pięknej Rebeki lub żadny wrażeń, dał się, nie długo myśląc, obrzezać.

Prawie pięćdziesiąt lat doświadczenie z misją katolicką dla nawracania Żydów w Wilnie poucza niezbicie o tem, że dla powodzenia całego przedsięwzięcia, rzeczą pierwszorzędnej wagi jest oparcie go o podstawy *wyłącznie* religijne, z wykluczeniem całkowitem domieszki politycznych rachub, w postaci odrywania przechrztów od pnia narodowego, przerabiania ich na *dobrych Polaków*, szczucia nimi byłych współwyznawców i rodaków... Wszystko to jest ohydą, przed którą poprostu wzdrygać się musi każdy, co nie zatracił sumienia.

Jeśli Kościół katolicki naprawdę chce poważnie rozpocząć arcyżmudną akcję nawracania u nas Żydów, jak zapowiada to jedna z uchwał ostatniej jesiennej (1934) konferencji episkopatu, gdzie się mówi, że będzie w Wilnie stworzona *centrala misyjna dla nawracania Żydów na całą Rzeczypospolitą*, to niech nam wolno będzie wypowiedzieć tu parę dezzyderatów. Zresztą nie pochodzą one od jakiejś grupy, są bowiem tylko elementarnym nakazem rozsądku i uczciwości.

Sprowadzają się one do tego, że jeśli nie wolno *jednocześnie* prowadzić akcji unijnej z rewindykacją przeszło 750 cerkwi po-unickich, to niemniej nie wolno prowadzić akcji misyjnej nawracania Żydów *inunctim* z uprawianiem antysemityzmu. Kto poważnie chce wygrania procesów rewindykacyjnych, winien tej jedynie sprawie cały się poświęcić. Będzie przynajmniej konsekwentny a uczciwy. Kto jest znowu z głębokiego przekonania antysemitą, niech dba o czystość rasy „nordyckiej”. Lecz zawsze na miano potworności zasłuży taktyka, która będzie godziła forsowanie antysemityzmu łącznie z nawoływaniem Izraela do nauki Chrystusa i Kościoła.

A czyż u nas tak właśnie nie jest?! Oto kilka-naście chyba lat redaguje się na plebanji farnej i drukuje się w Grodnie bojowy antysemitki świstek, o szumnej nazwie *Nowe Życie*, który nieraz już był przez władze prokuratorskie przełapany na zamieszczaniu rzeczy o tendencjach wręcz pogromowych. A przecież jest to organ księży i nie sposób dla naszego kleru uchylić się od ponoszenia zań odpowiedzialności. Rozgłośna książka słynnego polskiego antysemity Don Iniga p. t. *Synowie Szatana* doczekała się rychło po swem ukazaniu się listu od jednego z polskich książąt Kościoła, w którym ten zapewnia autora o *swem zupełnem zsolidaryzowaniu się*.

Jakiem wobec tego prawem te same czynniki prowadzą dziś akcję nawracania Żydów? Czyż nie będzie całkiem zasłużoną rzeczą, jako jedyny skutek tego zakłamania, ściągnięcie już nietylko na kler katolicki, lecz na samo imię katolickie zasłużonej w tym wypadku wzdargy?! Podobno polskiej naturze wrodzona już jest słodycz, czy jednak powyższa próbka osłodzenia Żydom rosnącego wciąż antysemityzmu troską o...wieczne zbawienie ich dusz nie będzie w gruncie rzeczy przedmiotową nikczemością!... Nie sposób jednocześnie utrzymywać *mission de tolerance* i progagować wzniosłe ideały dziełnictwa, Trzeba zdecydować się na wybór czegoś jednego.

Nie zmienia postaci rzeczy, że też u żydów współczesnych odczuć się często daje duży brak godności osobistej, wyznaniowej i narodowej, jak też zakłamania. Jakże bowiem inaczej wytłumaczyć, że żyd, zgłaszając się do misjonarza katolickiego w Wilnie zaczyna mu z punktu klarować, że chce przejść na *polską wiarę*, czyli że mu wystarczy nędzny endecki surogat katolicyzmu? Albo te delegacje z chlebem i solą, ofiarowywane przez małomiasteczkowe gminy żydowskie wizytującym swe diecezje biskupom, często znanym jako bojowi antysemitom? Można zrozumieć jeszcze takich delegatów w tałesach, gdy witali wizytujących s.p. biskupów Matulewicza lub Łozińskiego, którzy antysemitami nie byli, lecz nie ogólnie! Wprost podziwiać trzeba tu żydowską niekonsekwencję, takie lizuniństwo, płaszczczenie się...

W r. 1934 ujawnili zainteresowanie się misją nawracania naszych żydów również prawosławni. Oto przebywający w jednym z klasztorów arcybiskup Pantelejmon ogłosił w Wilnie drukiem broszurę w języku polskim, dowodząc na podstawie Pisma św., że Chrystus jest obiecany żydom Mesjaszem.

Nie można w artykule niniejszym pominąć akcji p. Mojżesza Engelszterna, który na swój sposób, czasem mniej szczęśliwy, próbuje przełamać lody uprzedzeń między żydostwem wileńskim a społeczeństwem chrześcijańskim. Myśli odnośnie p. Engelsztern rozwija w często konfiskowanym nieperjodyku żargonowym *Dos emeser Wort* (Słowo Prawdy) i wydanym w transkrypcji łacińskiej *Unzer Najer Ongrif* (Nasz nowy atak).

Neofita.

Bibliografia.

Kantak K. ks. prof. Litwa. Łomża, 1934.

W ostatnim tomie poznańskich „Roczników Katolickich na rok 1934”, ks. prof. Kantak zamieścił dłuższy artykuł p. t. „Z Litwy”, opisując odbytą roku zeszłego podróż naukową po Litwie niepodległej. Rzecz ta ukazała się w osobnej odbitce, jaką chcemy tu dziś omówić.

Znajomość swą z Litwą rozpoczął autor od Kłajpedy. Istotne jednak ustosunkowanie się wzajemne ludności kłajpedzkiej tak litewskiej, jak niemieckiej, uszło uwagi naszego badacza. Ludność miasta—pisze o Kłajpedzie ks. Kantak,—jest całkowicie (sic) niemiecka i na litwinizację jej się nie zanosi. I zaraz potem dodaje: Istnieje mniejszość litewska — podobno 5.000 dusz na 40.000 mieszkańców. Tymczasem, jak wiemy, sprawa kłajpedzka dla Litwinów nie jest wcale beznadziejną.

Po Kłajpedzie autor zwiedził kolejno różne miejscowości na Litwie, gdzie coś było dlań ciekawego lub znalazł klasztory zakonu bernardynów a więc Kretynę (pochodny będzie kretynowski, nie kretyński), Połagę, Cytowiany, Poniewież, Traszkuny, Kowno, Pożajście (nie Pożajsk), lecz nie będę kusił się o ich przypomnienie czytelnikowi. Sprostowania wymaga twierdzenie, jakoby litewscy bernardyni zamienili swą dawną nazwę bernardynów na franciszkanów, za wpływem niemieckim. Dlaczego nie za rzymskim, skoro i tam nazwa bernardynów nie jest w użyciu?.. Myli się ks. Kantak co do personaljów niektórych działaczy litewskich. Tak dyrektorem Ban-

ku Państwowego jest nie ks. Jurgutis lecz ex-ks. tegoż nazwiska; ex ks. Puryckis ożenił się z ukraińką, nie zaś z rosyjską bolszewiczką lub żydówką, jak głosiła złośliwa plotka. Żona prezydenta Smetony została zbyt mocno zakwalifikowana jako *Egerja ré-gim'u*... Zresztą prawie to Polka, urodzona Chodakowska.

Co do politycznej strony ciekawej broszury, to zauważyć trzeba, że metody litwinizacji wielce zasłużeń dla idei narodowej księża litewscy zapożyczyć mogli nietylko od księży niemieckich, lecz równie dobrze od najprawdziwszych księży Polaków—endeków, którzy też byli i są najlepszym wzorem bezwzględności nacjonalistycznej względem mniejszości.

Broszura warta przeczytania.

Wat.

Bajevs Vsevolodas adv. *Činšo arba amžino nuomos teisė veikančiųjų istatymų šviesoje*. Kauna 1934.

Adwokat kowieński, Wsiewołod Bojew od szeregu lat zamieszcza artykuły z dziedziny prawa na szpaltach miesięczników *Teisė* i *Savivaldybė* w Kownie, jak też w rosyjskiej prasie w Rydze. Omawiany tu szkic o czynszach na Litwie witamy tem chętniej, że wiąże się on ze spuścizną Statutu Litewskiego, jaki zbyt rzadko jest u nas przedmiotem dociekań naukowych, nawet w kołach prawniczych. Tymczasem czynsz, kaduk i inne odrębności dawnego prawodawstwa litewskiego zasługują na gruntowne opracowanie.

W zaraniu niepodległego swego bytu, odrodzona Litwa zetknęła się z odwiecznym faktem istnienia w całym kraju ziem czynszowych. Dość tylko wymienić czynsze kościelne i klasztorne, cerkiewne i monasterskie, kahalne, magistrackie, prywatne... Wyjątkowo rzadko u nas czynsze były jakoś uporządkowane, zwykle — w stanie okropnego chaosu, zabagnienia. Zaledwie gdzieś skrzyżny magistrat lub sprężysty pleban umieli drogą sądową uporządkować o tyle—o ile stosunki właściciela z czynszownikami, dotychczas normujące się *po dawnomu obyknoweniju*. Miało to miejsce np. w Słonimie, Wołkowysku... Gorzej już jest w Wilnie, gdzie sprawa ta daleką jest od dobrego uporządkowania. Rzecz oczywista, że liczni czynszownicy, właśnie dzięki temu stanowi rzeczy, stali się faktycznie właścicielami (*savininkai*). Dawni wiodarze Litwy, posiadając najwyższe prawa do swej ojcowizny i *dominium directum*, przelewali tak lub owak *dominium utile*, czyli prawo użytkowania, na innych, których chcieli obdarzyć. Płacona z tytułu używalności pewna danina, nazywała się z niemiecka *czynszem*, jeśli chodziło o majątek ziemski, lub *kanonem*, gdy chodziło o dwory kościelne.

Nieznaczy to, że w średniowieczu trzeba szukać kolebki czynszów, które są o wiele starsze, swój rodowód wyprowadzają z *emphyteusis* prawa starożytnego, a na Litwę, Białoruś, Ukrainę i Polskę przyszły łącznie z prawem magdeburskim, saskim i t. d. Lecz nie będziemy tu śledzili za drogą dziejową, jaką prawo czynszowe przebyło na Litwie, od chwili wprowadzenia do obecnej, acz temat to ciekawy i przez Bojewa został ujęty z perspektywy historycznej. Wszystkie ważniejsze etapy przebyte przez prawo czynszowe drogi dziejowo-rozwojowej są u Bojewa jasno sprecyzowane. Do-

prowadziwszy część historyczną swego szkicu do chwili współczesnej, autor co nieco faktów dał nawet z kazuistyki czynszowej, przytaczając jak sprawę tę załatwiano np. w Możejkach... Ponieważ państwo wołoskie na ziemiach północnej Suwalszczyzny weszła w kontakt z obowiązującym tu dotąd Kodeksem Napoleona, a na obszarze Kłajpedy z *Bürgerliches Gesetz-Buch (B. G. B.)*, więc autor nie pominął i tych odrębności prawnych.

Z przyjemnością powitamy zawsze każdy dalszy wysiłek naszych prawników, jaki zmierzać będzie do wyświetlenia prawodawstwa litewskiego. Statut Litewski nie przestanie być nigdy prawdziwą chlubą naszą i legitymacją zdolności autochtonów tej ziemi do twórczości prawnej, z której przez wieki korzystały nawet kraje ościenne.

Rimtas.

Kauno Arkivyskupijos Diecezinis Sinodas 1934 m.
Kaunas 1935.

Wczesną wiosną r. b. wyszły drukiem statuty *pierwszego* synodu kowieńskiego odbytego w Niepodległej Litwie. Archidiecezja kowieńska zainaugurowała pracę i prawodawstwo synodalne. Zapewne rychło pójdą w ślad za nią pozostałe diecezje Litwy i także synody zwołają w rezydencjach biskupich. Omawiany tu synod odbył się w dd. 20—22 lutego 1934 r. Ustalonym zwyczajem urzędowych wydawnictw synodalnych, publikacja statutów winna być poprzedzona ogłoszeniem w całości wszystkich odnośnych dokumentów, poczynając od arcybiskupiej zapowiedzi synodu i wezwania nań duchowieństwa, a kończąc na różnych dodatkach. Dowiadujemy się stąd, że *ostatni* synod na Żmudzi odbył się jeszcze przed utratą niepodległości kraju, w r. 1752, za rządów biskupa Antoniego Tyszkiewicza, więc przed 182 laty.

Przeszło rok trwały prace wyłonionych z duchowieństwa kowieńskiego dziesięciu komisji, jak'e przygotowały potrzebny dla synodu materiał, zapewniając mu prawidłowy a sprawny przebieg. Otrzy-

mawszy apostołskie błogosławieństwo Ojca św. i ustaliwszy regulamin obrad, Synod został uroczystie otwarty i doprowadzony do pomyślnego końca. Pamiętką podniosłych chwil, jakie przeżyła wówczas archidiecezja kowieńska jest i będzie szereg przemówień synodalnych, wygłoszonych przez najwybitniejsze sily kaznodziejskie ówczesnego Kowna i Litwy, a tu wydrukowanych. Minister oświaty gratulował na wstępie Synodowi powodzenia, również wszyscy ordynariusze litewscy wraz z kapitułami. Liczba statutów wynosi 189.

Osobno podano kilka nieprzyjętych na Synodzie rezolucyj. Wreszcie na końcu znajdujemy encyklikę pap. Piusa X, z powodu złotego jego jubileuszu kapłańskiego, jaka specjalnie zwrócona była do całego kleru katolickiego.

Kauno Sinodas uzupełnia dodana doń mapa archidiecezji kowieńskiej. Format kieszonkowy podnosi użyteczność i praktyczność tej publikacji.

P. Kantryba.

OD WYDAWNICTWA.

Z powodu okoliczności nieprzewidzianych numer niniejszy ukazuje się ze znacznym opóźnieniem, za co najmocniej przepraszamy naszych czytelników. Wogóle prosimy o pobłażliwość w okresie wakacyjnym, gdyż niedostateczne środki materialne i techniczne, w związku z potrzebą wypoczynku letniego dla redakcji, nie pozwalają nam skrupulatnie wywiązać się z zobowiązań wobec prenumeratorów.

ZA SPOKÓJ DUSZY



TADEUSZA WRÓBLEWSKIEGO

w d. 3 lipca jako w dziesiątą rocznicę zgonu staraniem Komitetu T-wa Pomocy Naukowej im. Wróblewskich odbędzie się nabożeństwo żałobne w kościele św. Jana.